

Pismo.

MAGAZYN OPINII

CZERWIEC 2020 | NR 6 (30)

ROZMOWA

Kiedy w Polsce zabraknie wody?

LITERATURA

Sylwia Chutnik Tomasz Różycki

REPORTAŻ

Co czuje kura zanim ją zjesz?

HISTORIA OSOBISTA

Lebda biegnie wzdłuż rzeki

ESEJ

Dlaczego USA nie stać na lewicę

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

06>

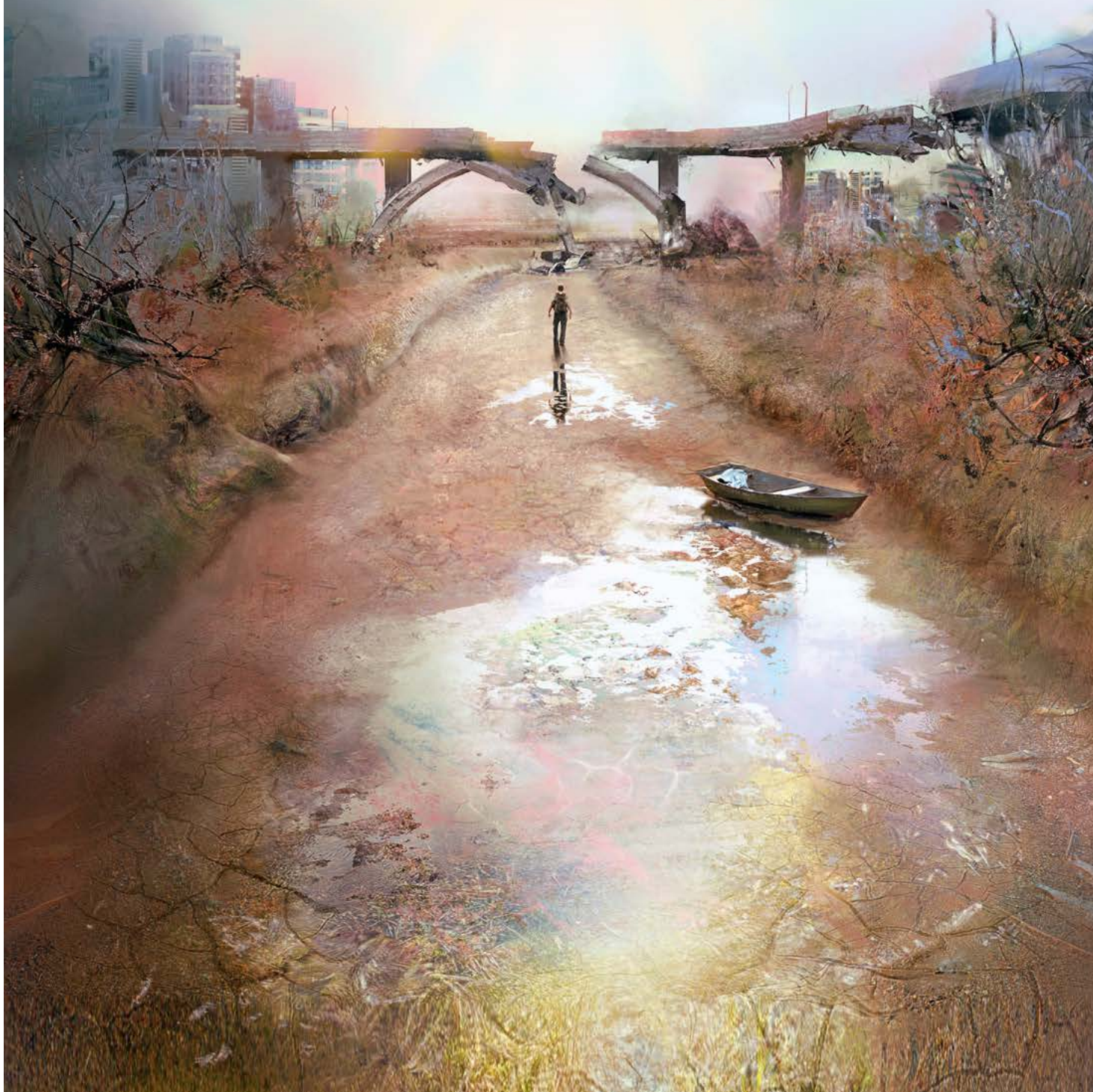


9 772544 502005

MAGAZYN OPINII

Pismo.

CZERWIEC 2020 | NR 6 (30)



MAGAZYN OPINII Pismo.

CZERWIEC 2020

OPOWIADANIE

Pandemino. Dziennik czasów zamknięcia | 6
SYLWIA CHUTNIK

To, co się z tobą dzieje | 90
ANDREA LUNDGREN

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w czerwcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 95
MARTA DYMEK

POEZJA

Libacja | 11
TOMASZ RÓŻYCKI

Ty pierwszej mgły dosięgasz... | 23
BOLESŁAW LEŚMIAN

Nie mam jeszcze siwych włosów, ani jednego | 29
KADIA MOŁODOWSKA

OBRAZ

CYKL DOBRO WSPÓLNE **Ewa dla Ziemi** | 4
MARTA RYBICKA

FOTOREPORTAŻ **Królestwo miłości** | 30
MIKOŁAJ JANIK

KOMIKS **Z życia pingwinów** | 66
KAROLINA LEWESTAM

ŻARTY RYSUNKOWE
MICHAŁ RZECZNIK

OKŁADKA **Poziom wód**
RAFAŁ PIEKARSKI

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Dzień Dziecka**
MARCIN WICHA

96 | PRZYPISY **O wodzie**
ZUZANNA KOWALCZYK

REPORTAŻ

12 | **Wielka łapanka** NOWY CYKL
BARTEK SABELA sprawdza, w jakich warunkach żyją kury, które zjadasz

58 | **Zorganizowana partia przestępcza**
DIONISIOS STURIS o neofaszystach – istotnej sile politycznej w Grecji

ROZMOWA

24 | **Kran, z którego nie kapie** NOWY CYKL
ADAM ROBIŃSKI pyta ALEKSANDRĘ KARDAŚ, kiedy w Polsce zabraknie wody

PORTRET

44 | **Ziemia i krew. Indie Narendry Modiego**
DEXTER FILKINS o premierze, który obrał sobie za wroga muzułmańską mniejszość

ESEJ ŚWIAT

36 | **Pełzająca rewolucja**
PIOTR TARCZYŃSKI o problemach Demokratów przed starciem z Trumpem

HISTORIA OSOBISTA

70 | **Czytanie wody**
MAŁGORZATA LEBDA o swoim biegu wzdłuż Wisły

76 | **O strachu nie w porę**
MAREK BIENIŃCZYK o tym, co obnaża lęk

WOKÓŁ KSIĄŻEK

84 | **Zostawieni w domu**
MAGDALENA NOWICKA-FRANCAK o samotnych bohaterach literackich

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Szefowa Działu Idei: Karolina Lewestam,
Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, Redakcja: Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka,
Felieton: Marcin Wicha, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa marketingu i sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Anna Linowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



Dzień Dziecka

MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Ojciec, zanim umarł, powiedział, żebym rzucił pracę. Miałem tego ranka nie jechać, byłem zajęty, dziś nie wpadnę, odwiedzę cię po operacji, widzimy się w piątek, mówią, że rutyna, spoko. Marta kazała mi jechać.

Ojciec powiedział, że wszystko będzie dobrze, że teraz będzie sobie zdrowiał, świetnie się składa, że akurat na wiosnę, i żebym jak najprędzej rzucił tę pracę.

Zrobiłem to kilka miesięcy później.

Potem zapomniałem Kieślowskiemu wszystkie bombastyczne trylogie, muzykę Preisnera, pokolorowane zdjęcia, za tę jedną scenę z filmu *Przypadek*, kiedy ojciec mówi: „Witek, nic nie musisz”.

Bo tylko to można powiedzieć dzieciom.

Prezenty, klocki lego i matchboxy, kredki i obrazki przypinane do ściany specjalnymi pinezkami. Wycieczki, książki i letnie wakacje. Zwierzęta i rośliny. Wszystko, żebym kiedyś rzucił tę kretyńską pracę.

Najlepsze rzeczy dostajemy na początku. Nie po to, żeby je potem spłacać, tylko dlatego, że nam się należą.

Po to żebyśmy pamiętali, że nam się należą. Po to, żebyśmy wiedzieli, że zasługujemy na dobre rzeczy. Żebyśmy nie słuchali tych, którzy mówią inaczej. Żebyśmy się nie pozwolili szmacić. (Zasługujesz na coś lepszego. Rzuć tę pracę. Nic nie musisz).

I jeszcze wiem, że mój dziadek uwielbiał mojego ojca. I wiem, że moi pradziadkowie uwielbiali moją babcię. Nawet kiedy odbierali ją z aresztu. A potem kiedy wyszła za męża, kiedy związała się z zawodowym rewolucjonistą, wiecznie zamykanym i ściگانym, pradziadkowie przynieśli im w prezencie ślubnym kalafiora. Na nic innego nie było ich stać, czasy były ciężkie.

To jedyne, co się liczy.

Nigdy nie interesowały mnie drzewa genealogiczne. Zapomniałem większość historii, pogubiłem pamiętki. Ale kiedyś czytałem listy ludzi, którzy nie mają nawet grobu.

Najpierw pisał Leon. Stawiał zamaszyste litery. W pierwszej chwili można pomyśleć, że tych kresek i ciasnych pętelek nie sposób odczytać, ale potem niespodziewanie układają się w zdania, jedno słowo rzuca linę i pomaga wydobyć kolejne – kochani moi – najmilsi – piszemy 3 razy tygodniowo – wasza depesza – tak byśmy chcieli wiedzieć – znać wasz obecny tryb życia – piszcie – kochamy

– Leon chyba naprawdę zamierzał skończyć w połowie kartki, ale związki frazeologiczne galopowały przed siebie. Zanim litery zdążyły wyhamować, skończyło się miejsce. Jeszcze podpis – Wasz ojciec – i zawstydzony oddał kartkę żonie. Dla Belli zostało może ze dwa centymetry dolnego marginesu.

Więc swoje – Najukochańsi najmilsi – zapisała bardzo cienką nitką. Z każdym słowem litery stały się mniejsze – puls zanikał – aż w dolnym prawym rogu zniknęło jej imię.

Dopiski na marginesie były już całkiem nieczytelne. Tylko – Bądź szczęśliwa. Adresatka nie związała się z tego zadania.

Adres wpisał on. Potem któreś poszło na pocztę. Potem ktoś przybił pieczęć WARSCHAU, gapę i datownik.

Zagarnęliśmy dla siebie niszę spokoju. Zagarnęliśmy parędziesiąt lat pokoju i równowagi. Zajęliśmy te kilkanaście lat względnego dostatku. Naobiecypiliśmy dzieciom, że już zawsze tak będzie – że wszystko pod kontrolą. Dla was też starczy, mówiliśmy.

Nie wiem, co nas napadło, żeby opowiadać wam takie głupoty. Ale zapamiętajcie, proszę, zapamiętajcie, że kiedyś dostawałyście ogromne porcje lodów – żadnego tam mango z cykorią, zawsze wybierałyście czekoladowe i truskawkowe – a one topniały jak lodowce, kapały na wasze śliczne sukienki z napisami i wzorami, z pszczołami, kotami i pękami kwiatów, zapamiętajcie, że dostawałyście lalki, które nie za bardzo nam się podobały, piórniki, plecaki z bohaterami kreskówek, że dbaliśmy o świeże dostawy książeczek, a któregoś roku wykupiliśmy abonament do zoo – i że to wszystko miało sens.

Zapamiętajcie, proszę, że na to zasługujecie. Bądźcie szczęśliwe. W miarę możliwości.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W CZERWCU:

Akcja „Książka na telefon”

Z powodu epidemii nawet czterdzieści procent małych księgarń może zbankrutować. Większość z nich działa bez zmian. Akcja „Książka na telefon” skupia lokalne księgarnie w całej Polsce i umożliwia bezpośredni kontakt z księgarzami, dzięki czemu (nie-mal) wszystkie uroki osobistych odwiedzin pomiędzy regałami – indywidualna porada, rekomendacja, a nawet kupowanie oczami (niektóre księgarnie oferują transmisję *live* swoich półek) – dostępne są z domowej kanapy. Wszystkie biorące udział w akcji księgarnie realizują wysyłkę na terenie całego kraju. ksiazkanatelefon.pl



We Are One: A Global Film Festival

Do 7 czerwca, dzięki współpracy YouTube'a oraz Tribeca Enterprises, potrwa globalny festiwal We Are One, zorganizowany przez największe imprezy filmowe na świecie. Program, przygotowany przez organizatorów festiwalu w Cannes, Wenecji, Karlowych Warach, Locarno, Nowym Jorku, San Sebastian, Marrakeszu, Sarajewie oraz Londynie, będzie różnorodny gatunkowo (wyświetlone zostaną zarówno fabuły, jak i dokumenty, krótkie metraże czy teledyski) i uzupełniony o spotkania online oraz panele dyskusyjne. Oprócz pokazów premierowych udostępnione zostaną też filmy, które znalazły się na wspomnianych festiwalach, ale z różnych względów nie doczekały się szerokiej dystrybucji. Dostęp jest bezpłatny, a seanse pozbawione reklam – wszystko po to, aby zachęcić widzów do przekazywania datków na Światową Organizację Zdrowia.

Świat objęty pandemią ulega stopniowemu „odmrażaniu”. Choć odwołano wiele festiwali i wydarzeń, to część z nich przeniosła się do sieci, część zmieniła termin, ale są też takie, które przekształciły się w całkowicie nowe przedsięwzięcia. A ponieważ wsparcie dla kultury jest teraz ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, polecamy nasz subiektywny przegląd najciekawszych inicjatyw kulturalnych w czerwcu.



Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu zaprasza...

Znaki Apokalipsy: Międzynarodowa Wystawa Sztuki Współczesnej to monumentalna wystawa pod kuratelą Mirosławy i Kazimierza Rocheckich. Na ekspozycję składa się 177 dzieł 93 twórców z Polski, Danii, Słowacji, Ukrainy, Litwy, Francji i Brazylia. Zaproszeni do udziału artyści w ciągu dwóch lat realizowali swoje interdyscyplinarne wizje do otrzymanych fragmentów Apokalipsy Świętego Jana. Trudno nie myśleć o znaczącym momencie otwarcia wystawy na temat końca świata, bo jak piszą sami organizatorzy, „niewątpliwie przygotowywana od trzech lat wystawa *Znaki Apokalipsy* finalizuje się w najgorętszym momencie, w którym świadomość kruchości ludzkiego życia, a także zawodność dotychczas ustalonych na świecie porządku i hierarchii wartości tak bardzo się unaoczyły i spędzają nam sen z powiek”.

...podobnie jak Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie...

Katastroficzny klimat zapewni też MSN w Warszawie. Na stronie wiekpolcienia.artmuseum.pl znajdziecie nie tylko przegląd prac zgromadzonych na wystawie *Wiek półcienia. Sztuka w czasach planetarnej zmiany* pod kuratelą Sebastiana Cichockiego i Jagny Lewandowskiej, ale również ułożoną z nich na wzór fizycznej wystawy opowieść, uzupełnioną o tekst oraz audioprzewodnik. Na ekspozycję składają się prace z ostatnich pięciu dekad nawiązujące do nieodwracalnych przemian na powierzchni Ziemi oraz wynikających z katastrofy klimatycznej nowych form solidarności i empatii. Dla tych, którzy zechcą obejrzeć wystawę stacjonarnie, MSN otworzy swój nadwiślański pawilon w połowie czerwca.



... i krakowskie Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK

W krakowskim MOCAK-u zobaczycie aż dziewięć wystaw, w tym cztery nowe ekspozycje. Szczególnie polecamy *Współczesne modele realizmu* pod kuratelą Moniki Kozioł, w ramach której zobaczycie m.in. prace Wilhelma Sasnala czy duetu artystycznego Markus Muntean i Adi Rosenblum. Dla tych, którzy wolą jednak pozostać w domu, MOCAK działa też online – na stronie muzeum możecie odbyć wirtualny spacer po ekspozycji, a aktualny spis wydarzeń znajdziecie na facebookowej grupie [#MOCAKonline! Jesteśmy tu!](https://www.facebook.com/MOCAKonline)



DOBRO WSPÓLNE

Ewa dla Ziemi

zdjęcie i tekst MARTA RYBICKA

„ZA KAŻDYM RAZEM, KIEDY JADĘ DO OŚRODKA, MA TO SENS”.

Ewa Kozdraj jest prezeską Stowarzyszenia „Dla Ziemi” w Bratniku, które działa od 1995 roku, a od ponad dekady pracuje z przebywającymi na Lubelszczyźnie uchodźcami i na ich rzecz.

– Kobieca przyjaźń jest wielką siłą napędową – mówi. Ewa widzi w uchodźczyniach utalentowane, mądre i dobre osoby. Wspólnie stworzyły markę „Craft for Dignity”, której pracownia artystyczno-rzemieślnicza znajduje się w Ośrodku dla Cudzoziemców w Łukowie.

– Wszystkie jesteśmy kobietami, mamy dzieci, doskonale rozumiemy się na poziomie życia rodzinnego – mówi Ewa. W ramach różnych projektów łączy uchodźczynie z kobietami z małych miejscowości i wsi. – Tu nikt nie czeka na darmową pomoc, ważniejsza jest dla nich aktywność i poczucie wspólnoty. Zdjęcia pochodzą z przeprowadzonych w styczniu 2019 warsztatów fotograficznych z Julią Delbar w Klubie Spotkań Kobiet w Łukowie.

Cykl we współpracy z kampanią „Organizacje społeczne. To działa”
www.todziala.org

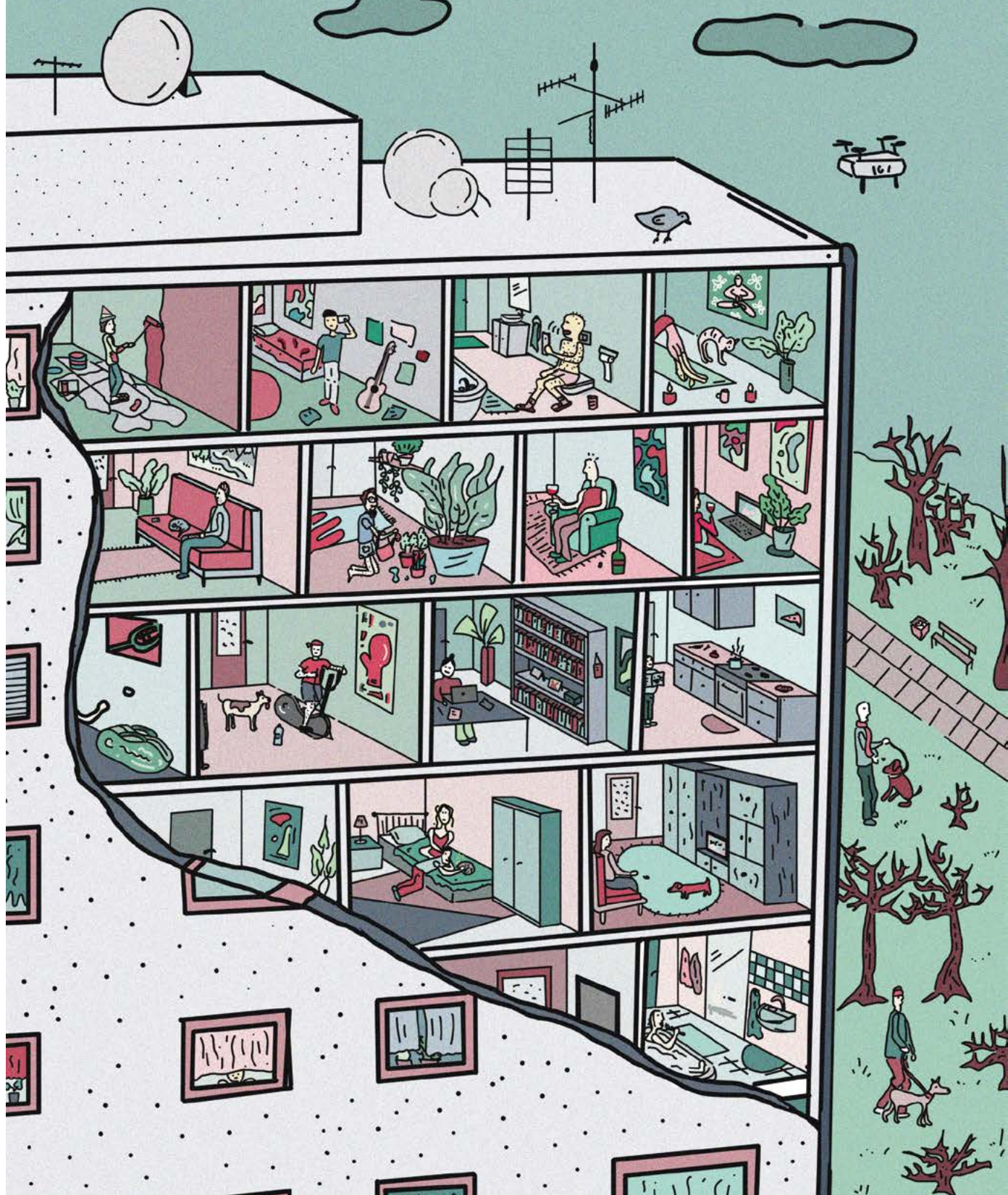




OPOWIADANIE

Pandemino. Dziennik czasów zamknięcia

tekst SYLWIA CHUTNIK



Balkony to cały świat. Ludzie wyleźli na nie w gaciach, warkach na głowie i starych tiszertach. Coś tam niby gmerają w uschniętych badyłach, ale tak naprawdę tylko filują na boki w poszukiwaniu innych żywych. Żeby sobie popatrzeć. Część z nich pali papierosy po kątach, bo towar reglamentowany i głupio byłoby, gdyby ktoś chciał się poczęstować. Jeden papieros kosztuje na czarnym rynku około 5 złotych. Palony jest na dwa–trzy razy. Zwykle wieczorem, przed snem, kiedy jest nam już wszystko jedno, ale człowiek i tak jest dumny z tego, że przeżył kolejny dzień, a ogólnie nic strasznego się nie stało. Nie więcej niż to, co i tak jest wokół: jeden wielki koszmarny.

Armagedon miał być nagły, spektakularny jak w amerykańskim filmie. Trzęsienie ziemi, wielki pożar czy Godzilla zjadająca cywilizację. Koniec przybył jednak w formie pandemii. Dość zaskakującej, bo niewidocznej, a przez to nierealnej. Bo kto z nas traktował kiedykolwiek poważnie te wszystkie dziwne kształty pod szkłem mikroskopu? No dobrze: może ci ekscytujący się biologią. Ale to tak, jakby koniec świata przybrał formę znaczka pocztowego, na którym znajdują się tylko zagorzali filateliści. Niszowe to widowisko i wcale niewidowiskowe.

NAKŁADAM MASKĘ z podwójnym filtrem i krzątam się jak rasowa ogrodniczka, chociaż to dopiero początek sadzenia. Czyszcze zapyziałe po zimie doniczki, pucuję barierki i zastanawiam się, czy w nowym sezonie wiosennym jest sens stawiać krzesła. Siadam więc w kucki oparta o ścianę i piję pierwszą herbatę w pełnym słońcu.

Zaraz wychyla się sąsiadka: – O matko, jak cudownie, że cię widzę. Ostatni raz zobaczyłam kogokolwiek tydzień temu. Dziwne uczucie, nie wiem, czy umiem jeszcze rozmawiać. – Gadamy więc niezobowiązująco, wykonując przy tym różne czynności. Psikam zraszaczem wielkie liście palmy, które zrobiły się całkiem żółte od kaloryferowego powietrza. Opowiadam o tym, co przeczytałam w internecie. Sąsiadka mówi o tym, co jej się wydaje. Dozujemy chaotyczne doniesienia, które można streścić jednym słowem: przesrane. Jeszcze chwila, a wiedzę o świecie będę czerpała tylko z memów, bo nie jestem w stanie ciągle zaglądać do portali informacyjnych. Co innego sąsiadka – jak tylko otworzy

oczy, zaraz łapie telefon i mruczy pod nosem: „Ciekawe, ilu zmarło, a ilu jest zarażonych”. Zaczynam podejrzewać, że czerpie dziwną satysfakcję z apokalipsy.

Balkon to nowa kawiarnia. Stoimy oparte o barierki. Na zewnątrz nie ma nic. Cienkie kikuty wieżowców wbijają się na horyzoncie w chmury i zatrzymują kulę ziemską niczym zacięta igła adapteru. Próbuje dostrzec jakieś znaki na niebie. Napotykam wzrok dziewczyny, która mieszka naprzeciwko, w Domu Bogatych Ludzi. Widzę ją pierwszy raz, zwykle pewnie wracała do mieszkania, kiedy zapadał zmrok. Wjeżdżała samochodem do podziemnego garażu, potem windą na trzecie piętro i zasłaniała rolety. Teraz patrzymy na siebie, odrobinę zaciekawione i speszone. Ona stoi w koszulce na ramiączka i majtkach. Ja z rozczochranymi włosami, jakaś taka wymemłana. Jestem pewna, że gdybyśmy spotkały się następnym razem na ulicy, to nie byłoby żadnego „dzień dobry” i w ogóle niczego, bo nasze światy są od siebie odległe. Nie mają żadnych punktów wspólnych. Teraz jest inaczej. Wszystkie zostałyśmy więźniarkami.

Cofam się do mieszkania i siadam na skraj łóżka.

Jeszcze nigdy wyglądanie przez okno nie było tak frapujące. Futryna niczym ozdobna rama w jakimś ważnym muzeum. Mam zawężone pole widzenia, dzięki temu mniej się rozpraszam i szukam nowych doznań. Jest po prostu tylko to, co jest, świat poza tym nie istnieje. Ktoś go skadrował w programie komputerowym, zminimalizował, dostosowując do moich i tak coraz mniejszych potrzeb. Opieram więc łokieć o parapet, a czoło o szybę. I patrzę. Nigdzie się nie spieszę i nic mnie już nie uratuje. W poprzednim życiu musiałabym pewnie zapłacić mnóstwo kasy za wypasione warsztaty skupiania się i „życia tutaj, teraz”. A tak to: proszę. Sama sobie wy tłumaczyłam już jakiś czas temu, że nie ma się co wygłupiać z ambitnym repertuarem i po prostu należy skupić się na oddychaniu. Oddech zaparowuje część widoku, przez co obraz staje się nierealny.

I emocjonujący. O, przejechał samochód policyjny, z głośników poleciały niezrozumiałe słowa. Pewnie coś o niewychodzeniu z domu oraz zakładaniu ubrania ochronnego. Przez ulicę przebiegł kot. Skąd się tu wziął? Kilka dni temu zabito większość zwierząt w mieście, teoretycznie ze względu na podejrzenie roznoszenia nowej wersji zmuto-

wanego wirusa. Realia są podobno bardziej prozaiczne: nie ma co jeść. Brakuje artykułów spożywczych dla ludzi, a co dopiero dla tych wszystkich kanapowych piesków i rozleniwionych kotków. Plotka głosi, że część zwierząt została zabita dla mięsa przeznaczonego na dożywianie najbardziej potrzebujących. Skąd takie plotki? Roznoszą się w szeptach przed sklepem, w zaułkach lub w bramach, nie wiadomo, kto je rozsiewa i kto powtarza. Zakażają jednak umysł i rozpalają wyobraźnię. Wczoraj, kiedy wyszłam na chwilę przed kamienicę do śmietnika, usłyszałam, jak ktoś ostrzegł: – Trupy jadą od razu na badania medyczne, a ci, co jeszcze żyją, są celowo truci, żeby szybciej umarli. – Na pytanie drugiej osoby, czemu komuś miałyby zależeć na naszej śmierci, odpowiedź była jedna: chcą zrównać z ziemią wszystko, co po nas pozostanie, a następnie wybudować wielkie zakłady produkcyjne. Fabryki i magazyny, w których będą pracować niedobitki pandemii: dzieci, ubodzy, być może roboty. Towary będą wysyłane na Marsa, gdzie jest już przygotowana kolonia dla najbogatszych. Masowa ewakuacja planety Ziemia: do tego potrzebny był ten wirus, nad którym od lat pracowano w sekrecie w rządowych laboratoriach. Przyszłam do domu i długo nie mogłam się pozbierać. Śniły mi się potem niekończące się taśmy produkcyjne, po których jeździły idealnie skręcone regały BILLY dla bogatych ludzi na Marsie, żeby mieli gdzie trzymać wypchane głowy tych, którzy mieli trochę mniej szczęścia. We śnie pracowałam w takiej fabryce. Prawie nic nie widziałam ze zmęczenia. Stałam przy taśmie dzień i noc, nie miałam już domu, więc nie miałam gdzie wracać po pracy. Idealny scenariusz każdej korporacji. Problem *work-life balance* rozwiązany. Jest tylko *work*.

Czy przypadkiem nie jest jednak odwrotnie? Zostało tylko życie, ale bez pracy. Dla wielu osób egzystencja staje się więc bezcelowa. Uczono nas, że od przedszkola należy pracować na swoje CV, a kiedy nie ma już gdzie składać dokumentów, snujemy się bezużyteczne i markujemy zainteresowanie czymkolwiek.

Idę więc do przedpokoju i udaję, że sprzątam w pawlaczu. Wyjmuję zapleśniałe słoiki z przetworami oraz kolekcję muchołapek. Stojąc na drabinie i grzebiąc w głębokiej wnęce, mam ochotę wdrapać się tam cała, zwinąć w kłębek i przeczekać to wszystko. Zamiast

tego tchórzę (jak zwykle) i siadam zmęczona na podłodze. Opieram plecy o ścianę. Słyszę kroki na klatce, to rzadkość, bo niewiele osób pozostało w budynku. Wyglądam przez wizjer, ale widzę tylko wirujący kurz, który unosi się w resztkach słońca.

DRZWI DO MIESZKANIA są bramą. Za nimi wielka niewiadoma. Niewidzialny wirus, który wchodzi każdą szczeliną i zatrutym naszym organizmem powoli i wytrwale. Drzwi zwiastują również coś, co (może kiedyś jednak, być może, chyba, a gdyby tak) nastąpi. Mianowicie wolność. Wyjście. Wybiegnięcie przed siebie i tarzanie się w liściach. Latanie z wywieszonym językiem przez wszystkie alejki w parku, które dotąd się opuszczało z niezrozumiałego lenistwa. Jakieś fikołki w sali gimnastycznej. Generalnie chodzenie bez celu, bez konkretnego powodu, dla przyjemności.

Zyliśmy tam i z powrotem. W wielkiej fabryce kroków. Kiedy stanęły nasze nogi – potężne maszyny – to zatrzymała się produkcja kolejnych kilometrów Bez samolotów, pociągów, samochodów. Bez zwiedzania muzeów, kawy w ogródku, wspinania się w górach. Nie ma gdzie chodzić, nie ma jak się przemieszczać. Świat przestał być płataniną dróg.

Wyobrażam sobie wałęsanie się między domami i swobodne dotykanie cegieł. Jedna po drugiej. Jak pieszczota. Jak spełnienie miastem. W parku moim dachem jest niebo, na podłodze leży idealny dywan z trawy i patyków. Zamiast ścian mam konary drzew, a moimi superdizajnerskimi meblami są ławki z dość twardym oparciem. Na nich się rozsiadam i tkwię bez sensu, ale za to z dużą radością. Gołębie wydziobują mi sznurowadła.

W wyobraźni stukam butem o bruk i idę dalej. Wchodzę do baru, zamawiam coś zimnego, żeby kłuło w zęby. Patrzę przez szybę na przechodniów, trochę czytam książkę, a trochę podsłuchuję innych. Żyję zwyczajnie. Żyję wreszcie przy ludziach i względem nich. Mam obok swoje stado, z którym mogę walczyć na śmierć i życie, ale to moje stado. Czuję tych, którzy pchają się w kolejce, stoją

w korkach i wykłócają w urzędach. Wyobrażam sobie przed snem ten irytujący tłum, za którym tak bardzo tęsknię.

OGARNIACTWO. A więc skarpetki. Nie do pary, sitko na pięcie, dziura na palcu. Wypłowiałe, wynudzone, nijakie. Łypią z pudełka jak wywieszone jęzory na brodzie. Kiedy wysypuję getry na łóżko, niemal słyszę ich westchnienie ulgi. Zaraz jednak zaczyna się selekcja, ostateczne rozwiązanie kłębiących się kolorów. Jestem bezlitosna, nie podejrzewałam się o aż taki sadyzm. Stoję w mundurze SS-manki i z szybkością taśmy produkcyjnej zrzucam na ziemię wszystkie niepotrzebne odpady. Skarpety aż furkoczą, wzbijając się nad dywanik. Oho, za niego też się zaraz wezmę, dziś nie mam skrupułów. Podobny los spotyka majtki, rajstopy, staniki. Wywalam zbędne tekstylia, powoli okazuje się, że zostało mi ich niewiele. Trudno. I tak wyjścia z domu są na tyle ograniczone, że nie muszę myśleć o strojeniu się.

Jest i kostium plażowy – no proszę, a ten tu po co? Rozciągnięty przy ramiączkach, wypina się resztkami dumy w okolicach piersi. Myśli, że specjalistyczny materiał wyszczuplający talię ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Tymczasem to tylko żałosna pocztówka z przeszłości, kiedy człowiek czochrał ciało o rozgrzany piasek i patrzył prosto w słońce, aż mu się kręciło w głowie. Teraz słońce jest tylko narysowane, a piasek już dawno zmienił się w nieprzyjemny żwir, który kłuje stopy i odstrasza kolorem szaroburego błota. Kostium łąduje obok skarpetek. Nie będzie już oklejał skóry po wyjściu z basenu. Po zmoczeniu przypływem, kiedy ledwo się oddycha. Schylałam się jeszcze, podnoszę go na ostatnią pieszczotę. Zanurzam nos w materiał, który pachnie solą i chlorem. Przypominam sobie, kiedy moja ręka dotykała twojej, ślizgając się pod falami. Nie umiałam przestać się śmiać, potem było mi niedobrze, bo niechcący napiłam się wody. Chwilę później kostium leżał niedbale rzucony w kąt pokoju, tworząc wokół siebie kałużę. Ale to już nie miało znaczenia z perspektywy łóżka.

Teraz leży pozbawiony tej specyficznej nostalgii ostatniego lata. W obliczu końca świata drażni wręcz niedorzecznością. Zirytowana odpycham go stopą. Wyrzebuje z szafy kolejne szmaty. Koszulki, sweter bez guzików, wytarta bluza. Zostawiam tylko to, co naprawdę lubię. Zależy mi na życiu, nie zależy mi na pozorach.

Dwadzieścia dwie sukienki wiszą w szafie. Zamierzam je kiedyś założyć, jedna na drugą, a potem zdejmować w rytm leniwej piosenki, jak niezgrabna striptizerka. Może zrobię to przed oczami innej osoby, może wystąpię dla siebie w lustrze. Muszę to przemyśleć. Mam wiele czasu.

Patrzę również na buty. Nie wkładałam ich od kilku tygodni. Bałam się, że jedne z nich – ulubione adidas – rozwał się i nie przeżyją kolejnego sezonu. Cóż, leżą i odpoczywają. Nie wiem, czy kiedykolwiek je włożę. Bo teraz, aby iść do sklepu po resztki jedzenia, muszę wkładać rybackie kalosze sięgające za kolana i brodziec w mule i błocie. Zarówno obuwiu, jak i specjalne skafandry, dostarczyło wojsko mieszkańcom rewirów, w których poruszanie się było wyjątkowo trudne. Czyli nam. Wszystko dlatego, że Stary Mokotów został częściowo zburzony ze względu na podejrzenie skażenia murów. Specjalne brygady przemieszczały się po okolicy i kredą zaznaczały budynki przeznaczone do rozbiórki. Patrzyłam na nich z okna, modląc się, aby nie postawili plusa na fasadzie mojej kamienicy. Postukali ją, przyłożyli w kilku miejscach tajemniczy sprzęt, na którego ekranie wyświetlał się poziom przekroczenia norm. Potem coś tam zanotowali w zeszytach i poszli dalej. Z gardeł mieszkańców wydarł się jęk ulgi. Kilka osób płakało, w tym sąsiadka z góry, która od kilku miesięcy w ogóle nie wyszła z domu. Była chora na cukrzycę, odjęli jej stopę, a w kamienicy nie ma windy. Czasami spuszczała na sznurku koszyk, a dozorca wkładał do niego jedzenie. Kilka dni po ogłoszeniu częściowego zamknięcia miasta zmarła na zawał serca. Przypomniało jej się getto i mury, które stawiano wzdłuż ulic, oddzielając ludzi od siebie. Nie chciała dalej żyć. Powiedziała mi to bez zbędnej dramaturgii, kiedy zanio-

słam jej zakupy i postawiłam na wycieracze (już wtedy nie można było odwiedzać się w domach ze względów bezpieczeństwa). Wytarła oczy zmiętą chusteczką i cicho stwierdziła, że „ona się już do tego wszystkiego nie nadaje”. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Na pewno nie chciałam jej sztucznie pocieszać czy odwozić od zamiaru umierania. Sama funkcjonowałam wtedy resztkami sił, w pewnym sensie z rozpędu i poczucia obowiązku. Nie mogłam przecież tak po prostu zniknąć. Nigdy nie lubiłam prostych rozwiązań, wydawały mi się w złym stylu. Miałam jednak chęć zamknąć oczy i nigdy ich nie otwierać. Byłam bardzo zmęczona i coraz mocniej dawała mi się we znaki bezsensowność.

Kiedy człowiek całą noc przewraca się z boku na bok, a zasypia nad ranem jakimś dziwnym, rwanym snem, kończącym się nagłym wybudzeniem, to chodzi potem cały dzień rozdrażniony. Boli go głowa, jakby ktoś włożył skronie w imadło. Suche gardło nie pozwala przełknąć choćby kęsa. Ale kiedy zamknęli naszą dzielnicę, zaczęłam znowu kompulsywnie spać. Byłam ciągle jak w malignie. W narkolepsji. Chaotyczne układanie się w pościeli, nieznośne myśli, że to mój ostatni sen. Że kolejnego nie będzie. Że będą musieli wynosić mnie z mieszkania w jakiejś głupiej pozycji i jeszcze im spadnę z nosy. I co z moimi rzeczami? Nie chcę, aby ktoś obcy je oceniał: ładne, brzydkie, a po co takie zastony, a na co to tyle książek?

Dlatego też wzięłam się za porządki w szafie. Czymś należało się zająć i na czymś wrzescie się skupić.

JEST JESZCZE GOTOWANIE. O, na początku nawet mnie bawiło. Były do kupienia różne produkty, był gaz. Teraz korzystam z niewielkiego zapasu butli cudem wydziadowanych od znajomego z hurtowni. Gotowanie na nich musi więc trwać dosłownie chwilę. W przeciwnym razie będzie to marnotrawstwo, na które nie mogę sobie pozwolić. A więc takie pichcenie chyłkiem jest jak nielegalne palenie fajek w kiblu. Trzy machy i koniec. Chrupię niedogotowaną kaszę i cieszę się, że jest chociaż trochę ciepła. Kuchenka śpiewa niczym w operze. Szczególnie w okolicach obiadu: stoją na niej garnki, rondle i patelnie, i tylko: szuuu, szumi woda, blur blur, gotuje się wrzątek na ziemniaki. A na patelni smaży

się kotlety, sycząc jak węże w cyrkowym numerze. Uwaga! Zaklinacz węży kotletowych! Proszę nie podchodzić do wijącego się gada.

Jeśli coś nie wydaje dźwięków, to jest nieciekawe. Musi stukać, grzmieć i stękać. Wtedy wystarczy zamknąć oczy i wsłuchać się w te wszystkie nuty, które płyną i płyną. Ach, gdybym tylko potrafiła śpiewać, mogłabym traktować te dźwięki niczym akompaniament.

Myję pomidora, jakby jutro miało nie być. Wyparzam skórkę, chociaż zwykle gardziłam osobami, które to robią. Wycinam delikatnie szypułkę. Zielony kołnierzyk odchodzi lekko, warzywa są dość dojrzałe. Przeleżały za długo w szklarni i teraz nadają się tylko na zupę lub przecier. Stoję nad garnkiem i wdycham parę. Z nabożeństwem wysypuję ostatnią garść ziół, ciesząc się, że potrawa będzie mieć jakikolwiek smak. Będę ją jadła tak długo, aż wysty-



gnie. Aż zimny krem będzie się rozsmazywać po zębach i zostawać między nimi na dłużej, na pociechę. Po blacie chodzi zagubiona muszka, sklejone skrzydła przypominają torbę foliową. Obserwuję jej bezproduktywną wędrówkę w stronę okna. Próbuję pomóc jej dostać się na powietrze, ale mucha w pewnym momencie pada bez ruchu. Ostatnia pielgrzymka zakończona porażką. Dojadam obiad, chociaż straciłam apetyt.

Czasami wpadam w stupor. Spaliłam już tak niejedno jedzenie. Drapałam potem paznokciem czarny spód garnka. Robiłam to jak najdłużej, żeby cokolwiek robić.

Podnosiłam również rolety i opuszczałam je z powrotem. Miałam nadzieję, że będę wykonywać te czynności godzinami, bo nie przychodziło mi do głowy nic innego, co bym mogła robić, aby się uspokoić.

W takich chwilach skupiam się na ogarnianiu rzeczywistości małymi kroczkami.

Liczę na przykład makaron w pudełku. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, ile jest ziarenek ryżu w torbie? Czy maszyna w fabryce wydziela dokładną ilość do opakowania? Czy niedojedzony ryż można pochować w grobie? Te i inne zagadnienia roztrząsałam zboliałym głosem. Odpowiadał mi nikt i to było w tym siedzeniu najgroźniejsze.

TYMCZASEM W DOMU obity kubek wypadł mi z dłoni i toczył się między kłębami kurzu. Kubek dostałam na urodziny, został przewieziony z bardzo daleka i miał być miłą pamiątką. Teraz tylko drażnił pamięć i niepotrzebnie prowokował wspomnienia. Podobnie jak durnostojka w kształcie kotka schowana w rogu parapetu. Patrzyłam na nią zawsze wtedy, kiedy czekałam, aż ugotuje się woda. Po co mi ta figurka, która nic nie wnosi do obecnego życia? A może, jeśli będę musiała nagle opuścić dom, to zabiorę tylko ją, pod wpływem szoku lub chwilowego pomieszczenia zmysłów? Na wszelki wypadek chowam kotka głęboko w szufladzie. Po raz kolejny nerwowo sprawdzam plecak do ewakuacji. Są w nim dokumenty, kilka puszek jedzenia, mały śpiwór i środki medyczne. Wolałabym pakować się na wakacje, ale nawet do końca nie jestem pewna aktualnej pory roku, więc z planowania to co najwyższej izolacja *all inclusive*. Nie ma lata, nie ma zimy i nikogo nie obchodzi, że pada deszcz albo wyszło słońce. Niezależnie od temperatury wirus ciągle mutuje. Wydaje się niepokonany jak przedziwny atleta, który kroczy przed siebie, nie zważając na kłody rzucane mu pod silne nogi.

WYGLĄDAM ZNOWU przez szybę i staram się zachować równowagę. Nazywa się to akceptacja. To trudny wyraz i muszę go sobie ciągle zapisywać długopisem na dłoni, żeby nie zapomnieć.

Aby nauczyć się uznania siebie taką, jaką jestem, stosuję specjalną metodę Terapeutycznych Kąpiel. Przygotowuję ceremoniał, jakbym była w Ciechocinku, a lekarz zaleciłby mi lecznicze wody. A więc sole, resztki mydła i ususzonych kwiatów. Gaszę światło, włączam muzykę. Przez chwilę czuję się jak dawniej. Szykująca się na imprezę lub odpoczywająca po męczącej podróży.

Teraz, pozostawiona sama sobie, mam tylko siebie. Swoje ciało, tak bardzo narażone na choroby. Swoją skórę, która, aby znaleźć się w sklepie, musi przejść przez specjalną służbę odkażającą. Swoje palce, stopy, szyję – zmartwiałe od ograniczonego ruchu. Wreszcie brzuch, tak kiedyś znienawidzony. Zawsze nie taki, jaki powinien być. Teraz staje się przyjacielem w niedoli i tym, który pamięta czas przed.

Wysysam napięcie ciepłą wodą. Chociaż od kilku tygodni jest reglamentowana (tylko pięć godzin dziennie i nigdy nie wiadomo kiedy), to staram się codziennie wejść do wanowego łóżka choćby na chwilę. Bez tych momentów spokoju, embrionalnego wręcz przemieszczania się niczym w wodach płodowych, oszalałabym. Wpadłabym w panikę, że... a zresztą, nie mogę nawet przez chwilę myśleć o tym, co mogłoby nastąpić.

— NA POCZĄTKU WSZYSCY byli podekscytowani nową sytuacją. Żarty, komentarze, analizy i niekończące się „bo ja myślę, że”. Oraz dużo grup wsparcia, zbiórek pieniędzy, apeli o pomoc. Potem, prawdopodobnie w wyniku izolacji oraz zbyt wielu godzin na rozmyślanie, rozpoczął się festiwal rad i porad, których nikt nie zamawiał i o które nie prosił. Pisałam o sytuacji ludzi starszych, chorych, na krawędzi przetrwania. Część osób, zamiast zaproponować coś konkretnego, perorowała. Argumentowała. Przytaczała statystyki, badania, filmiki z YouTube'a, jakby to był uniwersalny przypis do wszystkiego. Wszystko oblane sosem szalenie eleganckich pojęć i mądrości. „Jak pewnie pani wie, jesteśmy ludźmi kulturalnymi. Chadzamy, bywamy i mamy poglądy. Teraz siedzimy w domu i kartkujemy nasze poważne książki. Tym bardziej razi nas pani postawa jednoznaczności. To jest nie do wytrzymania. Odpowiedź na każde pytanie, bez odcieni szarości. A gdzie symetria, tak pięknie się przecież różnimy. Nie można subiektywnie walić prawdą, gdzie popadnie. Od tego nie przybędzie dobroci na świecie. I proszę nie ironizować, ironia jest niezrozumiała. Pani jest jeszcze młoda, pewnie nie pamięta. Jeszcze wiele życia do przeżycia. Pani się nauczy, że najlepiej pilnować własnego nosa. Bo w ogólnym rozrachunku tylko nos nam na starość pozostanie”. Myłam ręce po każdym wylogowaniu, tyle tam było nie-

nawości. Pisałam w odpowiedzi: „Mam dużo pracy, przepraszam”. Za chwilę znowu siadałam przed komputerem i lajkowałam wszystkie posty, które mi się wyświetlały. Nawet te smutne.

My już od dawna mieszkamy w komputerach. Wszystko przeniosło się na ekran. Nie było innego wyjścia. Ludzie właściwie przestali mieć ze sobą zwykły kontakt. Jeśli rzeczywiście – o czym mówiło się coraz częściej – odłączyć niebawem prąd, to wszystko przestanie istnieć. Bez zasilania nie ma społeczeństwa.



— CZYNNOŚCI LUDZKIE. Przestają oddychać. Prawie nie jestem w stanie panować nad tym, co robię. Muszę bardzo wyężyć uwagę, aby poczuć przeponę. Kiedy tylko trochę się zdenerwuję i zapomnę o uśmiechu, to zaraz brakuje mi powietrza. Siedzę jak ryba bez wody i ledwo mogę myśleć. Może takie objawy są dobrą alternatywą dla nieustającego niepokoju: kiedy się dusisz, od razu znikają lęki egzystencjalne. A jednak dość późno przyznałam się sama przed sobą, że nerwy rzutują na ciało. Wydaje się ono zapchane, przeciążone, niezborne. Ciągłe ktoś siada mi na klatce piersiowej i wzdycha za mnie. Dlatego też nie mogę zbyt wiele myśleć, to mnie zabija. Nie mogę myśleć o tym, co się stanie, kiedy wyłączą prąd, zamkną ostatni sklep w okolicy, wyburzą dom. Kiedy pozostałości oddziałów szpitalnych przestaną funkcjonować. Zapelnione komentarze staną się siedliskiem kolejnych zarazków. Zaczną pojawiać się następne wirusy, a dotychczasowe szczepionki przestaną działać.

Zamykam się w sobie. Można być tylko we własnej samotności. O samotności innych co najwyżej myśleć, empatyzować. Nic więcej.

Słyszę wieczorem szloch sąsiada z dołu. Dwa lata temu rozwiódł się z żoną i pokłócił

z dziećmi. Nikt go nie odwiedza i nawet nie wiem, czy ma jakichkolwiek znajomych. Widzę go czasem, jak wypisuje bzdury na różnych profilach, jak błaga o uwagę, wdając się w nieistotne spory. Pędzi w łazience alkohol – smród drożdży niesie się po całym pionie. Może i dobrze, że się może w spokoju upić. Co innego robić? Delikatna tkanka codzienności obnażana jest rytmem i powtarzalnością dnia toczącymi się niczym koło. Pozostają czynności ludzkie, takie jak zapominanie, wypieranie i nerwowe uśmiechy. I jeszcze amplituda emocji, która skacze na wykresie jak odbijana piłeczka. Raz jest: „Polacy, nic się nie stało”, a potem znowu: „Ale bez nadzieja”. Z minuty na minutę zmienia się nastawienie, brak stabilności mężczy. Co z nami będzie?

Dlatego kiedy leżę, to leżę, a kiedy stoję, to również staram się skupiać na tej jednej czynności. Wtedy przynajmniej coś wiem i do czegoś jestem zdolna. Mam pewność, że moment, w którym się znajduję, jest mi dany jako prezent, który chcę wykorzystać najlepiej, jak mogę. Oddycham mimo problemów i obserwuję kulę powietrza wchodzącą przez nos, krążącą od stóp po czubek głowy, a następnie wychodzącą ustami. Zostałam fanką inhalacji. Nie ma dla mnie teraz nic ciekawszego niż obserwowanie siebie.

— KŁADĘ SIĘ WIĘC NA BALKONIE i czekam na buldożery, które prędzej czy później przyjadą, aby rozwalić moją kamienicę. Nie będę brała udziału w żadnej ewakuacji. Nie nadaję się do szybkiego zbiegania po schodach i tłoczenia przed specjalnie podstawionymi autobusami. Odmawiam udziału w ostatnich manewrach. Nie mam już pieniędzy, nie mam więc żadnych obciążeń. Zostaję u siebie. W domu, który widział moje zażenowane spojrzenia, mrużenie oczu lub podnoszenie kącika ust. Który zna na wyrywki cały mój repertuar, wszystkie śpiewane piosenki pod prysznicem. Wśród czterech ścian, które wiedzą, do czego jestem zdolna i co mogą zrobić mi inni ludzie.

W ogólnym rozrachunku samotność staje się darem, który tylko uwypukla to, co podejrzewałam już wcześniej. Że chodzi o ten moment, kiedy cień wędruje po suficie i zaspokaja nasze wszelkie potrzeby estetyczne. Tylko tyle.

POEZJA

Libacja

TOMASZ RÓŻYCKI

—

Niewiele czasu mamy do stracenia.
W sam raz, żeby się kochać wiele razy
i wsiąkać w gęstą, wygniecioną trawę,
patrzeć na fabularny wyraz nieba,
i wejść do morza, niechaj nas obmyje,
niech się fala zamknie nad nami na chwilę.

Niewiele czasu mamy przed straceniem,
więc trzeba jeszcze zawołać zwierzęta,
i dzieciom niespokojne włosy zmierzwić,
w ogrodzie stół ustawić bardziej w cieniu,
i nalać wszystkim wina. Niech na ziemię
spadnie tych kilka kropeł przed straceniem.



REPORTAŻ

Wielka łapanka

tekst BARTEK SABELA

NA PUDEŁKACH JAJEK I PACZKACH FILETÓW z piersi kurczaka widnieją soczyście zielone łąki, kłosa zboża, wiejskie chaty i szczęśliwe, czyste kury. Nieprzyjemną prawdę kryją długie, białe hale, do których niechętnie wpuszcza się gości.



**ODBIÓR
SZTUK
PADŁYCH**

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w grudniu 2018 roku w Polsce hodowano 56 milionów kur niosek. Ponad 31 milionów z nich żyje w klatkach i znosi jaja, które dostają stempelkę z trójką. Ma go dziewięć na dziesięć wszystkich jaj spożywanych w naszym kraju. Do tego w Polsce trzyma się 124 miliony brojlerów, czyli kur hodowanych na mięso. Nie jest to jednak miarodajna liczba. Brojlery żyją raptem kilka tygodni, w ciągu roku cykl produkcji powtarza się kilkakrotnie. Rocznie ubija się zatem 1,23 miliarda kur. Od lat nasz kraj jest europejskim drobiowym mocarstwem, a prawie połowa produkcji idzie na eksport, głównie do Niemiec, Wielkiej Brytanii i Czech. Wielkopowierzchniowe fermy stanowią niecałe trzy procent gospodarstw zajmujących się hodowlą kur, ale ze względu na wielkość produkują blisko dziewięćdziesiąt cztery procent mięsa. Wartość całkowitej produkcji drobiu wynosi ponad 60 miliardów złotych rocznie. Trzykrotnie więcej niż produkcja węgla.

— KUPUJĘ BRANŻOWE PISMO „Hodowca Drobiu”, przeglądam portale typu informator-drobiarski.pl, agrofakt.pl, agroswiat.pl, rolnet.pl. Wszędzie zdjęcia pięknych, bielutkich brojlerów i rudych, szczęśliwych niosek. W numerze „Hodowcy” z kwietnia żółciutkie pisklaki w otoczeniu palemek, w numerze z czerwca rysunkowe kury wypoczywające na rajskiej plaży. Nie tylko takie obrazy pomagają zaklinać rzeczywistość, odsuwać niewygodną prawdę. Branżowy język ubiera ją w fachowe, bezduszne terminy wzięte wprost z biznesowej nowomowy i ukrywa, że za całą tą matematyczno-ekonomiczną fasadą jest życie. I cierpienie.

Cykl produkcyjny – chów od pisklaka do momentu uboju, w tym przygotowanie kurnika, wymiana ściółki i inne konieczne czynności. Trwa nieco ponad sześć tygodni. Rocznie kurnik może wykonać nawet osiem cykli produkcyjnych.

Deklarowana waga chowu – docelowa waga, do której ptaki są tuczone, w przypadku kurczaków to około trzech kilogramów.

DJP – duża jednostka przeliczeniowa inwentarza. Produkcja to matematyka i ekonomia: słupki, wzory i wykresy. 1 DJP odpowiada jednej krowie o masie pół tony.

W przypadku kurczaków 1 DJP to dwieście pięćdziesiąt zwierząt. W raportach środowiskowych możemy przykładowo przeczytać: „Ferma na 200 DJP”.

Lapanka – zbieranie kurczaków przed transportem do rzeźni.

Maceracja – uśmiercanie kurcząt płci męskiej w procesie produkcji jaj. Koguciki są odpadem produkcyjnym. Nie będą znosić jajek, a nie opłaca się ich hodować na mięso, bo są niewłaściwej rasy: za wolno rosną i jedzą zbyt dużo paszy. Tuż po wykluciu są zatem oddzielane od samiczek i specjalnym pasem transportowane wprost do maszyny do mielenia mięsa. W otwór z kręcącymi się ostrzami wpadają żywe, przytomne, wraz ze skorupkami, z których się przed chwilą wykluły. Alternatywą dla mielenia jest zagazowywanie. Każdego roku na świecie zostaje zmielonych bądź uduszonych siedem miliardów kurcząt niewłaściwej płci. Pod wpływem nacisków społecznych Francja jako pierwszy kraj Unii Europejskiej zobowiązała się do zakazu maceracji kurcząt. W Niemczech stosuje się urządzenia pozwalające określać płeć kurczęcia jeszcze przed wykluciem i eliminować męskie zarodki poprzez schłodzenie.

Produkcja – nawet nie hodowla. Hodowla kojarzy się z czymś żywym, zatem: produkcja drobiu, produkcja jaj. Jak samochodów, pralek czy gwoździ. Tu zresztą też występuje pełna mechanizacja, optymalizacja, linie produkcyjne, bezobsługowe maszyny i najnowsza technologia z zimnej stali nierdzewnej.

Wsad – liczba kurczaków znajdujących się w danym kurniku. To taka jedna zmiana, jedna szychta. Kurnik o wsadzie dziesięciu tysięcy sztuk to maleństwo. Największe w Polsce mają wsad po sześćdziesiąt tysięcy zwierząt.

Wskaźnik śmiertelności dziennej – liczba kurcząt padłych w kurniku tego samego dnia, w tym ubitych z powodu choroby lub z innych przyczyn, podzielona przez liczbę kurcząt znajdujących się w kurniku w tym dniu i pomnożona przez sto.

Współczynnik upadku – odsetek padniętych ptaków w jednym cyklu produkcyjnym, czyli śmierć wliczona w koszty, odpad produkcyjny. Zazwyczaj oscyluje na poziomie dwóch do pięciu procent. Niewiele? Pięć procent dla przeciętnego kurnika o wsadzie

pięćdziesięciu tysięcy sztuk to dwa i pół tysiąca zwierząt.

Wyglądanie dziobów – okaleczanie niosek poprzez obcinanie dziobów. Ptaki w klatkach pod wpływem długotrwałego stresu często stają się agresywne wobec siebie nawzajem. By zminimalizować straty we wsadzie, pisklakom w pierwszym dniu życia obcina się mniej więcej połowę silnie ukrwionego i unerwionego dzioba.

— JA SIĘ TU WYCHOWAŁEM. Piękny sad, przedwojenny drewniany dworek, aleja świerkowa. Teraz już nic nie ma, wieś wymarła. Parę domostw zostało, ale jak poumierali właściciele, to nie ma tego nawet jak sprzedać. Bo kurniki stoją. Kiedyś w wiosce każdy chował jakieś krowy, świnia, kurczaki. Tu jeszcze niektórzy coś mają, ale wiele osób zrezygnowało, bo się nie opłaca. Zresztą jak pracujesz na kurzej fermie, to nie możesz hodować własnych kur. Takie warunki.

Siedzę przy herbacie z Janem Toflem, radnym w Wróblewa w gminie Radzanów, niedaleko Mławy. Za kuchennym oknem Mazowsze jak z obrazka: pola żyta, tu i ówdzie stare wierzby, dalej lasy.

– To jedyne okno, z którego mam widok – mówi Tofel. – U nas nie było nigdzie planów zagospodarowania, żadnych ograniczeń. Protestów na początku też nie. Jednym nie przeszkadzało, bo liczyli na pracę, inni mówili: „Wziąć od nich dobrą kasę za grunt i niech sobie budują”.

W sąsiedztwie domu Toffla stoi sto pięćdziesiąt kurników, z czego jedna trzecia w odległości pięciuset metrów. Wkrótce powstanie dwadzieścia sześć nowych. To tylko te w promieniu trzech kilometrów, bo gdy zmniejszymy skalę mapy na telefonie, kurników pojawia się znacznie więcej. W każdym z nich znajduje się kilkadziesiąt tysięcy kur hodowanych na mięso lub jajka.

– Dużo ludzi znalazło pracę? – pytam.

– Nie wiem, może dwie lub trzy osoby – odpowiada Tofel. – Przecież te kurniki niemal bezobsługowe są. Ludzie czasami na łapankach pracują, ale tak na stałe to prawie nikt.

– I jak się żyje?

– Śmierdzi bardzo, zależy, jak wiatr wieje. Jak z zachodu, no to bajka, bo idzie wszystko

w pola. Do smrodu i brudu można się jednak przyzwyczaić, ale gorzej z tymi pyłami, odchodami i tirami, co niszczą drogi. Ile naszego zdrowia to kosztuje?

– Znacie właścicieli ferm?

– Znamy się jak łyse konie, to ludzie stąd, tylko mają biznesy, jeżdżą wielkimi autami i chodzą w czystej koszuli. Oni się kierują zyskiem, a nie wspólnym dobrem. Przy swoich domach jakoś ferm nie budują. Teraz niedaleko mojej działki inwestor złożył wniosek o pozwolenie na budowę. Ma stawiać fotowoltaikę. Mam nadzieję, że nie na dachach kurników.

Jadę powoli między okolicznymi wsiami. Z okien samochodu wszędzie widzę długie, białe hale z przyszyżonymi trawnikami przed wjazdem oraz wysokimi ogrodzeniami. Gdzieś tam tablice krzyczące, że „nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, „strefa bioasekuracji”, „hala numer 25” albo „odbiór sztuk padłych”. Ludzi prawie nie widać, od czasu do czasu mijają tylko ciężarówka z grafiką uśmiechniętej kury na plandecie i logiem producenta. Powiat mławski, dalej żuromiński. Kurze eldorado Polski.

— ZASTANAWIA MNIE, kto wymyślił współczesny model produkcji drobiu i jaj, kto opracował jego technologię? Kiedy zwierzęta zniknęły ze wsi? Czytam opracowany w 2018 roku raport *Rozwój przemysłowej hodowli drobiu w Polsce a koszty eksternalizowane* Jarosława Urbańskiego z Zachodniego Ośrodka Badań Społecznych i Ekonomicznych:

Utrzymywanie drobiu nie wiązało się z jego spożyciem. Jajami i żywcem drobiowym chłopi przede wszystkim opłacali swoje daniiny dworskie i ewentualnie to, co pozostało, spieniężali na rynku miejskim. Na wsiach mięsa drobiowego i jaj nie jadano wcale lub w bardzo niewielkiej ilości i okazjonalnie. Chów drobiu traktowano raczej jako rodzaj działalności o marginalnym znaczeniu ekonomicznym lub nawet ciężaru narzuconego przez dwór. (...) Dodatkowo jeszcze w XIX wieku uważano, że kury „potrzebują stosunkowo większej przestrzeni, więcej karmy i bezwzględnie lepszej niżeli bydło, owce i świnię”, a także wymagają większego nakładu pracy. (...) Hodowla drobiu nie była opłacalna.

Tak było jeszcze do początku XX stulecia, nie tylko w Polsce. Rewolucja zaczęła się od przypadku. W 1923 roku pewna gospodyni domowa z półwyspu Delmarva (wschodnie wybrzeże USA), Celia Steele, zamówiła pięćdziesiąt sztuk kurczaków. W wyniku nieporozumienia przysłano jej jednak pięćset sztuk. Zamiast pozbyć się kur, kobieta zamknęła je w szopie i zaczęła karmić suplementami diety, by mogły przeżyć zimę. Kur było w szopie tak dużo, że nie mogły się nawet swobodnie poruszać. Steele niechętnie stała się prekursorką chowu przemysłowego. Trzy lata później miała już dziesięć tysięcy kurczaków, w 1935 roku stado liczyło 250 tysięcy sztuk, a hrabstwo Sussex stało się największym ośrodkiem produkcji dro-

Każdego roku na świecie zostaje zmieszanych bądź uduszonych 7 miliardów kurczaków niewłaściwej płci.

biu na świecie. Wkrótce do pracy ruszyli biolodzy, genetycy i chemicy. Opracowano nowe, wydajniejsze rodzaje paszy zawierające sulfonamidy i antybiotyki, które przyspieszają wzrost i chronią zwierzęta przed drobnoustrojami. W latach 50. wprowadzono podział na nioski (znoszące jaja) i brojlery (hodowane na mięso). Brojlery żyją teraz w ogromnych halach, nioski zaś trafiają do małych, drucianych klatek ustawionych piętrowo w długich rzędach. Hodowcy chwalią nową technologię – wymaga mniej pracy, kury znoszą więcej jaj, a jedzą mniej pokarmu, bo się nie ruszają. Zniesione, czyste jaja dzięki nachylonemu dnu klatki wpadają wprost do specjalnej rynny, można więc je szybko zbierać. Rośnie wydajność, produkcja jaj staje się w końcu zyskownym biznesem. Hodowcy drobiu w USA z entuzjazmem przenoszą całe swoje stada do klatek, a pomysł trafia do Europy. Wkrótce kurnik zmienia się w precyzyjną linię produkcyjną z automatycznym dawkowaniem karmy, usuwaniem kurzych odchodów i odbiorem

produktu, czyli jajek, a same kury prasa branżowa zaczyna nazywać „maszynami do produkcji jajek”. W 1990 roku dziewięćdziesiąt pięć procent niosek w Stanach i siedemdziesiąt pięć procent na całym świecie jest hodowanych w klatkach.

Życie kury nioski zaczyna się w wylęgarni (to zazwyczaj osobny zakład), gdzie na długich półkach leżą tysiące jaj. Po wykluciu kurczaki trafiają na taśmę produkcyjną, gdzie są poddawane seksowaniu, czyli segregacji według płci. Dziesiątki rąk w gumowych rękawiczkach wybiera osobniki męskie i odrzuca na taśmę, która zawiezie je w kierunku dużej, głośniejszej maszyny (patrz: mace racja). Kurki jadą za to do wychowalni, gdzie spędzają pierwsze szesnaście tygodni życia w klatkach mieszczących od dwudziestu do sześćdziesięciu sztuk. Następnie pakuje się je w plastikowe kontenery i przewozi (czasami kilkadziesiąt kilometrów) do docelowej fermy. Tam zostają zamknięte w metalowych klatkach (po kilka ptaków w każdej), w długiej, ciemnej hali produkcyjnej. Przez resztę życia – czyli około półtora roku – będą w niej znosić jajka. Nigdy nie zobaczą słońca i nie poczują świeżego powietrza.

Zwierzęta w klatkach są wycieńczone, cierpią z powodu połamanych kończyn i skrzydeł oraz chronicznego stresu. Nie mogą też zaspokajać swoich naturalnych potrzeb, takich jak grzebanie w ziemi i dziobanie, nie mogą nawiązywać relacji z innymi osobnikami. To wszystko prowadzi do wzajemnej agresji, a nawet kanibalizmu, jest jednak wliczone w koszty (patrz: współczynnik upadku). Do niedawna na jedną kurę przypadało 550 centymetrów kwadratowych – mniej niż kartka formatu A4. W 2012 roku w dyrektywie unijnej zakazano używania starych klatek i wprowadzono nowe – tak zwane klatki wzbogacone. Teraz nioska ma do dyspozycji 750 centymetrów kwadratowych, a na tej powierzchni same luksusy: plastikową belkę pełniącą funkcję grzędę, papier ścierny do ostrzenia pazurów, a nawet kawałek ściółki i coś, co język branżowy określa mianem „gniazda”. Niemniej kwadrat o boku 27 centymetrów to i tak zbyt